

## Paradoks wygnanej Concordii [FELIETON]

To właśnie dlatego, że wygnaliśmy Concordię, Polska (obok np. Ameryki) stała się kluczowym polem bitewnym w wielkiej wojnie o przyszły kształt polityki i kultury całego Zachodu. Dziejową nowością tej sytuacji jest to, iż nie bijemy się ani z okupantem, ani z zaborcą o sprawę wyłącznie polską, ale zmagamy się sami z sobą, partycypując tym samym w zmaganiach uniwersalnych – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyku „Z podbieszczadzkiej wsi”.

W tradycji klasycznej rzecz jest niesporna i należy do porządku myślowych oczywistości. Polityczna zgoda jest narzędziem państwowotwórczym, a wypieranie jej przez polityczny konflikt niesie groźbę destrukcji państwa, czyli cofnięcia się do pierwotnego barbarzyństwa. Taki punkt widzenia utrwaliła zwłaszcza rzymska tradycja republikańska, wynosząc Concordię do roli jednego z bóstw opiekuńczych Rzymu. Po uspokojeniu w IV wieku przed Chr. wielkich konfliktów na tle socjalnym, czego symbolem stało się utworzenie urzędu pretora, Kamillus – zwany drugim założycielem Rzymu – wzniósł na Forum świątynię Concordii, w której potem zwykł obradować rzymski senat.

Tej doktrynie był wierny zarówno Cyceron – najważniejszy ideolog Republiki Rzymskiej, jak i Salustiusz – jej najważniejszy historyk. Przez ich dzieła doktryna owa przeniknęła do polskiej myśli politycznej, gdy u progu nowożytności znajdowała się ona jeszcze *in statu nascendi*. Nie

*Polityczna zgoda jest  
narzędziem  
państwowotwórczym, a  
wypieranie jej przez  
polityczny konflikt niesie  
groźbę destrukcji państwa,  
czyli cofnięcia się do  
pierwotnego barbarzyństwa*

ma co przytaczać  
niezliczonych  
świadectw takiego  
przekonania u  
najwybitniejszych  
teoretyków ustroju i  
polityki dawnej  
Polski. Niedawno na  
łamach Teologii  
Politycznej prof. Igor  
Kąkolewski  
przypomniał, iż  
inskrypcje ku czci

Concordii umieszczano u nas na gmachach miejskich magistratów, np. w Poznaniu, Toruniu, czy Gdańsku. Ja zaś nie mam wątpliwości, że w naszej tradycji historyczno-literackiej nie ma piękniejszej, lecz zarazem bardziej „klasycznie naiwnej” apoteozy Concordii, aniżeli ta w poemacie Jana Kochanowskiego „Zgoda”:

*„Ja, Zgoda, która sporne planety sprawuję,  
Ziemię, wodę, wiatr, ogień w żywiołach miarkuję,  
Stróż rzeczypospolitych, zdrowie i obrona  
Miast wysokich – przyszłam tu, chociaż nie proszona  
Do was, o potomkowie Lecha słowieńskiego,  
Lutując niefortuny państwa tak zacnego,  
Które, od przodków waszych pięknie założone,  
Prze wasz rozterk domowy mdleje roztargnione”.*

Apoteozę Concordii, jako czynnika państwowotwórczego zakwestionowali na dobre dopiero w XIX wieku hegliści, a w ślad za nimi rodzący się europejski socjalizm. Ten ostatni, jak wiadomo, zakwestionował w efekcie samą ideę państwa. I o ile mogę tutaj odłożyć na bok liczne perypetie ideowe socjalizmu, to nie da się pominąć kluczowego dla polskiej tradycji konserwatywnej ataku na Concordię, podjętego na przełomie XIX/XX wieku przez młodsze pokolenie krakowskich Stańczyków. Zwłaszcza przez Bobrzyńskiego, który główną ideą swych słynnych „Dziejów Polski w zarysie” uczynił swoistą narodową zazdrość wobec innych wielkich narodów europejskich o to, iż to one, a nie my Polacy, „przez krwawy chrzest wzbijały się do wyższego życia i wśród strasznych wstrząśnień rozwiązywały najtrudniejsze zagadnienia ludzkości”. W gruncie rzeczy to właśnie w tej zazdrości tkwi przyczyna uznania przez Bobrzyńskiego naszej „młodszości” wobec Francuzów czy Niemców. Nie mieliśmy bowiem w Polsce „ani wielkich politycznych zasad, ani charakterów”, a nasze państwo na skutek tego było zawsze tworem ideologicznie mdłym, niekonsekwentnym, tolerancyjnym, a przez to wiecznie niedokończonym, a w końcu w ogóle niezdolnym do życia w wilczej rzeczywistości Europy XVIII wieku.

Ten spór między klasycznym ideałem Concordii, która jest „stróżem rzeczpospolitych”, a przekonaniem o konieczności „strasznych wewnętrznych wstrząśnień”, jako warunku *sine qua non* mocnej narodowej egzystencji – jest chyba sednem polskiej politycznej współczesności. Przypuszczam, że nie jestem dziś odosobniony we własnym dojmująco gorzkim odczuwaniu słabości naszego państwa, na które ostatnio, jak na pochyłe drzewo, każda koza skacze. Nasze – co prawda nie całkiem zgrabne – manifestacje politycznej podmiotowości budzą na zewnątrz tylko irytację, i co gorsza, owa irytacja coraz częściej

*Dobrych parę lat temu  
wygnaliśmy Concordię z  
naszego państwa. I od  
tamtego czasu, dość  
ryzykownie, zaczęliśmy się  
zмагаć sami z sobą o  
współczesne „najtrudniejsze  
zagadnienia ludzkości”: o  
chrześcijaństwo, o rodzinę, o  
obyczaje, o istotę  
sprawiedliwości, o kształt  
kultury i znaczenie Europy*

przybiera formę  
niespotykanych w  
zachodnich  
standardach napaści  
politycznych i  
medialnych na  
państwo polskie i  
nieustannych gróźb  
głośno kierowanych  
pod jego adresem.  
Najświeższym  
przykładem są  
polakożercze twitty  
nowego szefa  
dyplomacji Izraela,  
ale zaczęło się to  
przecież dużo

wcześniej, od sławnej tezy postawionej w Warnie przez Macrona, iż:  
„Polska nie wytycza dziś przyszłości Europy i nie będzie kształtować  
Europy jutra”. Oczywiście każdy z tych i wielu podobnych przypadków  
ma swe odrębne okoliczności i polityczne uzasadnienie, ale zarazem  
jest w nich wszystkich jeden wyraźny element wspólny. Ci, którzy z  
taką szewską pasją publicznie pokazują chęć zaszkodzenia państwu  
polskiemu, czynią to, gdyż dobrze wiedzą, iż z powodu panującego u  
nas zacieklego „rozterku domowego” mogą liczyć na akceptację, jeśli  
nie entuzjizm, sporego odłamu samych Polaków, jak i polskich  
polityków. Chyba nie bez racji Kochanowski pisał w dalszej części swej  
apoteozy Concordii:

*„Niech się miasto otoczy trojakimi wały,  
Trojakimi przekopy i mocnymi działały:  
Kiedy przyjdzie niezgoda, unią się mury  
I wnidzie nieprzyjaciel nie szukając dziury”.*

To wszystko prawda. Concordia – to bogini, która nie tylko mogłaby być patronką wielkich reform ustroju i ekonomii, jakich nie sposób prowadzić bez elementarnego narodowego konsensu. Ale Concordia ochrania również naród przed pokusą życia ryzykownego, wystawionego na niebezpieczeństwa, groźby, sankcje... I może właśnie dlatego ta klasyczna apoteoza bogini zgody, pióra Kochanowskiego, musi robić na nas dzisiaj wrażenie pewnej naiwności. Bo przecież już dobrych parę lat temu wygnaliśmy Concordię z naszego państwa. I od tamtego czasu, dość ryzykownie, zaczęliśmy się zmagać sami z sobą o współczesne (jakby powiedział Bobrzyński) „najtrudniejsze zagadnienia ludzkości”: o chrześcijaństwo, o rodzinę, o obyczaje, o istotę sprawiedliwości, o kształt kultury i znaczenie Europy.

*Bobrzyński napisałby dziś  
pewnie, że przewyżczyliśmy  
naszą „młodszość”, bo w  
przeciwieństwie do wielu  
siedzących cicho narodów  
europejskich, przestaliśmy  
grzecznie czekać na los, jaki  
wykują dla nas inni*

Możliwe, że czekają nas w związku z tym jeszcze owe „straszne wstrząśnienia”, a nie daj Bóg nawet „krwawy chrzest”. Jednak to właśnie dlatego, że wygnaliśmy Concordię, Polska

(obok np. Ameryki) stała się kluczowym polem bitewnym w wielkiej wojnie o przyszły kształt polityki i kultury całego Zachodu. Dziejową nowością tej sytuacji jest to, iż nie bijemy się ani z okupantem, ani z zaborcą o sprawę wyłącznie polską, ale zmagamy się sami z sobą, partycypując tym samym w zmaganiach uniwersalnych, przetaczających się przez nasz świat. Bobrzyński napisałby dziś pewnie, że przewyciężyliśmy naszą „młodszość”, bo w przeciwieństwie do wielu siedzących cicho narodów europejskich, przestaliśmy grzecznie czekać na los, jaki wykują dla nas inni, mający „silniejsze polityczne zasady i charaktery”. Widać, że Concordia, która znalazła się na wygnaniu, stała się paradoksalnie boginią o dwóch twarzach. Jedną – tą klasyczną – przestrzega przed osłabieniem państwa przez wewnętrzną waśń i wystawieniem go na ryzyko ze strony nieprzyjaciół. Drugą – wyraża podziw dla narodu, który miast siedzieć cicho, odważył się na twarde polityczne zmaganie z samym sobą, o przyszłość własną, ale i świata, w jakim przyszło mu żyć.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030

